

W dobie szalejącego bezrobocia, do drzwi urzędów pracy puka coraz większa armia absolwentów wyższych uczelni. Ich atutem mogłoby być doświadczenie zawodowe, ale jak tu mówić o doświadczeniu, skoro są świeżo po studiach? A jednak jest sposób na zdobycie doświadczeń zawodowych przez coraz częściej podejmowany przez absolwentów wolontariat pracowniczy. Realizują go już studenci, a im wcześniej, tym lepiej. Monika Socha opowiada o swoich studenckich doświadczeniach z pracą. Obecnie jest wolontariuszem w Dziale Dokumentacji i Informacji Artystycznej Biblioteki Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej Uniwersytetu. Zbiera tam materiały do swojej pracy magisterskiej dotyczącej analizy trójwymiarowości Magdaleny Abakanowicz, na temat „Być szamanem swego czasu”. Wolontariat umożliwia jej bezcenny kontakt z książkami, dziełem artystycznym i internetem dającym wgląd w bieżące zjawiska artystyczne w kraju i na świecie oraz orientację w organizacji całokształtu działalności biblioteki (Biblioteka, Dział Dokumentacji, Galeria i Kolekcja). Bez tych możliwości jej praca nie mogłaby tak łączyć w sobie złożonych powiązań artystycznych.

redakcja



Monika Socha

Z WĘŻEM OUROBOROS* W KIESZENI

Historia pewnego przypadku przyczyniła się do znaczącego doświadczenia mojego życia jako studentki na wymarzonych studiach malarstwa.

Pierwszy rok studiów to kipiąca fascynacja kulturą francuską, krajami Frankofonii i magister Mieczysław Taraszcuk - polską Madame, która zdążyła mnie zarazić obsesyjną miłością do Francji. Moja natura nie pozwalała mi robić czegoś dobrze, jeśli nie wniknę w sprawę, tylko pasja wynosi mnie nad poziomy, a ciekawość dziecka sprawia, że drażę istotę problemu. Ona jest specem od rozpalania motywacji i inspiracji tworzenia! Ale to nie koniec historii. Fascynację kulturą francuską szlifowałam powoli i ostrożnie. Każdy akcent w lewo, czy w prawo miał niebagatelne znaczenie.

W końcu znów za sprawą wspaniałej Pani magister wyjechałam do Paryża, by doświadczyć osobiście moich halucynacji o obcej kulturze, manierach i historii sztuki, do których potrzebny był mi właśnie język obcy. Trochę podniecona, lekko przerażona, ale z zarezerwowanym przypadkiem w kieszeni pojechałam do obcej rodziny pracować jako fille au pair, czy baby sitter, na obrzeżach Paryża. Na miejscu zastałam Mamę w ciąży trójki rozbrykanych, ale szczęśliwych na mój widok dzieci: Anne-Marie - 6 lat, Clotilde - 5 i Benoit - 4. Zostałam przez nie „zaadoptowana”. Nazajutrz przez telefon ze szpitala paryskiego dowiedziałam się o narodzinach czwartego wówczas dziecka - Étienne. To był drugi dzień w obcym kraju, w dwupiętrowym, luksusowym domu, w którym zostałam sama z trójką małych dzieci. Wśród ludwików i innych antyków czułam się cokolwiek obco, jeszcze przez następne cztery dni do powrotu ze szpitala mamy dzieci. Dopiero wtedy mogliśmy nawiązać swobodny kontakt, przy którym mogłam się wreszcie wyluzować. Nabraliśmy do siebie zaufania, w końcu sympatii. Chyba wygrałam los na loterii. Zamieszkanie u rodziny francuskiej pozwalało mi przeznaczyć moje kieszonkowe z opieki nad dziećmi na kurs języka w Père-Lachaise w Paryżu, a także na bilety metra, muzea, czy nawet na

małą czarną na ulicy Royale niedaleko Louvru.

Zaraz po powrocie z Francji do Polski przeczytałam *Gazetę Wyborczą*, w której ogłoszono jej piątą edycję konkursu „Grasz o staż 2000”, którego główny patronat obejmowała firma konsultingowa PriceWaterhouse Coopers z Warszawy. Wielu moich kolegów-studentów marketingu, ekonomii i prawa co roku brało w nim udział, choć bez większego powodzenia. Nie było tam jednak dziedziny sztuki. Sztuka jest przecież „miła”, ale nie dochodowa. Wybrałam wówczas dowolnie, dwie, wymagane w konkursie dziedziny - zarządzanie zasobami ludzkimi i ubezpieczenia. Wiedziałam już wtedy od doświadczonych kolegów, że nie chodzi tylko o nachalne wypełnienie kartek, kolejnym banalnym i trywialnym rozwiązaniem, ale o intrygę, przebojowość, oryginalność. Uświadomiłam wtedy sobie nowe rozpychające się środowisko, które zaznaczało własną autonomię terytorium. Do tej pory walczyłam sama ze sobą, teraz musiałam walczyć z drugim człowiekiem. Była to jednak bitwa, która wykluczała pięści, a włączała intelekt. W grę wchodziły też elokwencja i erudycja, o których wtedy sądziłam, że nie są moją mocną stroną. Koledzy jednak starali się napędzić mi siły, motywacji i wiary w siebie. Rozpraszała mnie moja niezdarna improwizacja poruszania się po nieswoich dziedzinach. Wyraźnie nie czułam wtedy bluesa. Ponieważ był to czas fascynacji i kultu filmem *Matrix*, postanowiłam wykorzystać jego przereklamowane motywy i masowe utożsamianie się z jego pozornymi wartościami w mojej pracy, dotyczącej zarządzania zasobami ludzkimi, w której należało przywrócić kondycję psychiczną i produktywność skłóconym pracownikom dwóch różnych firm, czego owocem stało się zaprzepaszczenie fuzji. Moim zadaniem było właśnie opracowanie strategii naprawczej obu tych firm i wgryzienie się w szereg informacji potrzebnych do ich rozwiązania. Miałam doprowadzić do utopijnej fuzji, tak aby rozwiązanie przypominało film oglądany na wspak. Sposób zaprezentowania wyobrażonego

przeze mnie filmu miał zacerować tak powstałe zniszczenia. Powstały scenariusz to nie tylko estetyczna przynęta dla zmysłów, został on wpleciony w solidne rusztowanie, na którego konstrukcję składały się: zasady zarządzania zasobami ludzkimi, psychologia, logistyka i marketing strategiczny, których opanowanie w potrzebnym stopniu przyprawiło mnie o satysfakcjonujący zawrót głowy.

Drugie, łatwiejsze zadanie, zostawiłam sobie na deser, bo dotyczyło ubezpieczenia, którego rozwiązanie było o tyle łatwiejsze, że nie wymagało aż tak wielkiego myślenia przestrzennego i abstrakcyjnego, jak w poprzednim zadaniu. Szablonowość tego zadania była oczywista. Wystarczyło dopasować dane ubezpieczanej czteroosobowej, tradycyjnej rodziny, do różnych losowych przypadków, z założeniem najbardziej korzystnej i bezpiecznej oferty dla „Państwa X”.

Wysłanie obu zadań i wypełnienie koniecznych formularzy rozpychało kopertę A-4 po szwy. Kilka miesięcy później zaproszono mnie na rozmowę do firmy Marks&Spencer w Warszawie, o której wcześniej nigdy nie słyszałam. Na miejscu dowiedziałam się o wyborze dwóch jeszcze kandydatów spośród nowo poznanej piątki przyjezdnych. Byłam szósta. Każdy z nich wydawał mi się genialny i bez zastrzeżeń. Zadawałam sobie pytanie: co ja tutaj robię, kiedy przyszła kolej na mnie. Czułam się trochę jak koń, któremu zaglądają w zęby... Jednak wchodząc do pokoju „przyszłości”, wiedziałam o kilku trikach i o rekrutacji. Wiedziałam też, że kolor garderoby szczególnie zapamiętywany w kontakcie z drugim człowiekiem, to odcień koloru IKB – błękitny. Nie mogłam się tylko pogodzić z myślą, że jeśli nie zmieszczę się w ich szablonie pożądanego pracownika, to zostanę zwyczajnie „towarem” gorszej kategorii. Nie miałam nic do stracenia i dlatego zrobiłam coś, co nie mieściło się w żadnych konwenansach. Było mi wszystko jedno, co sobie o mnie pomyślą, za drzwiami przecież

* Wąż Ouroboros jest symbolem przemiany materii w filozofii hermetycznej. Wg Romana Bugaja Ouroboros wyobrażał przemianę materii, zżeranie się, stapianie, rozpuszczanie i przemienianie przy rozkładzie. Z niego rodzi się kwiat złota i czerwieni, cynobru filozofów. Kark ma szafranowy, głowę natomiast czarną; jego cztery łapy wyobrażały cztery „ciała”, tj. metale, troje uszu - trzy pary: siarki, arsenu i żywego srebra (rtęci), Hermetyzm, Wrocław 1991, s. 85-86.

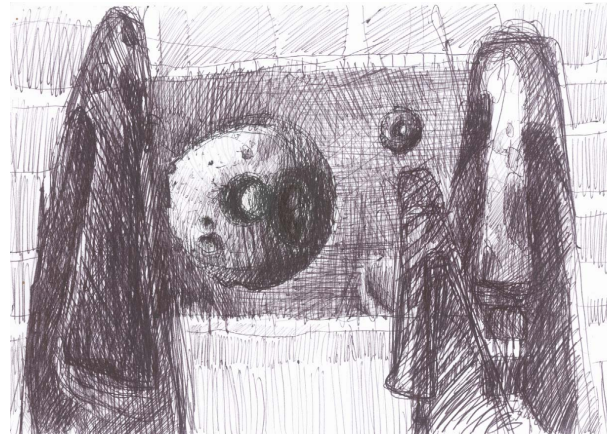
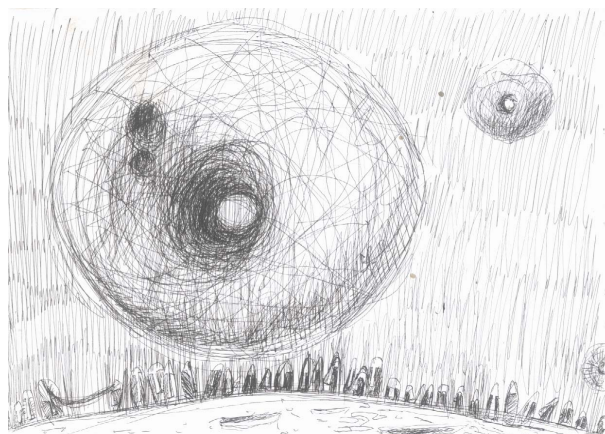
Wszystkich zainteresowanych, krytyków, amatorów i turystów serdecznie zapraszam na lampkę wina i otwarty dialog podczas wernisażu mojego malarstwa w Galerii LN przy Amfiteatrze 15 lutego o godz. 18.00. Wystawa będzie czynna do końca lutego. MS

stała cała armia geniuszy. Moje zachowanie przypominające może niedorzeczność, poskutkowało. Po raz pierwszy ktoś spuścił smycz. Bezpośredni kontakt z drugim człowiekiem dopiero nawilżył mi suche gardło.

Dialog ujarzmienia „dzikiego zwierza” nie był taki prosty, bo cóż mogła wiedzieć studentka drugiego roku malarstwa na temat zarządzania i personelu, pewnie niewiele, ale jedyne co mogłam zrobić, to zabrać wszystkich wehikulem własnej projekcji na niezwykłą podróż i przedstawić przedział niekończących się marzeń, planów i nadziei... Nie zrobiłam wtedy nic innego, jak sprzedawałam własne marzenia, a oni je po prostu kupili. Jednak to, o co oparta jest moja tajemnica, to słowa Napoleona Bonaparte; „Aby być ludziom potrzebnym trzeba ludzi karmić, śmieszyć albo zadziwiać”. Nie chciałam wygrać tej partii za wszelką cenę, byłam przekonana, że są ode mnie mądrzejsi i wspanialszy, a mimo to wybrano studentkę z drugiego roku malarstwa, choć uczestnictwo dopuszczane było od roku trzeciego, z kierunku urwanego z choinki, o którym nigdzie nie było żadnej mowy. Niemożliwe stało się możliwym...

Staż w firmie przetarł mi oczy ze snu, w którym do tej pory tkwiłam. Szkolenia wewnętrzne dawały mi niezłe w kość, ale było warto. Poza tym jest bardzo miło natknąć się na optymistę, który potrafi uczynić optymistami wielu pesymistów. Doświadczenie nowego środowiska zmieniło moje postrzeganie i wyprostowało dotąd skrzywione stereotypy o 180 stopni. A to wszystko dzięki niewidzialnemu talizmanowi pod postacią węża Ouroborosa, tego samego, który zabrałam ze sobą do Paryża.

Monika Socha
studentka V roku na kierunku malarstwo
laureat V edycji konkursu *Gazety Wyborczej* „Grasz o staż 2000”
w Marks&Spencer



RYSUNKI Z CYKLU „KLONY” DO OBRAZÓW OLEJNYCH NA DYPLOM Z MALARSTWA W PRACOWNI PROF. ZW. JANA GAWRONA